

W

W warszawskim Teatrze Polonia 15 lipca niecodzienna premiera. Obok Krystyny Jandy w „Skoku z wysokości” Leslie Ayvazian zagra... publiczność. Aktorka opowiada nam o tym eksperymencie.

Skąd pomysł, aby w spektakl zaangażować publiczność?

Chcę robić teatr, który nie poucza, nie każe się podziwiać, ale jest partnerem. W poważnych i błahych sprawach. Założeniem spektaklu jest włączenie publiczności do zabawy. Śmieję się, że ten tekst, w porównaniu z innymi, które grałam, jest tak bardzo o niczym, że nie mogę się go nauczyć na pamięć.

Jak trafiła pani na tę sztukę?

Co roku dostaję z Ameryki katalogi teatralne, z których dowiaduję się, co na świecie napisano i zagrano. Zobaczyłam tam opis przedstawienia, które wymaga zaangażowania 38 osób z widowni. Tak mnie to zaintrygowało, że dotarłam do autorki. Leslie Ayvazian jest amerykańską aktorką. Podczas warsztatów teatralnych zaczęła rozdawać uczestnikom kwestie do przeczytania. W ten sposób powstał ten monodram. Bohaterka stoi na desce nad basenem i boi się skoczyć do wody. Ma lęk wysokości i pecha w życiu.

A jeśli widzowie nie włączą się do gry?

Będą w sytuacji bez wyjścia. 38 osób znajdzie na krzesłach kwestie do przeczytania. Ten spektakl jest rodzajem łagodnej prowokacji. Zachęca publiczność, by odważyła się na skok razem ze mną. Myślę, że ludzie przychodzą do nas na coś więcej niż teatralny seans. Dlatego robimy „Skok...”. Liczę, że ten spektakl pozwoli nam przetrwać wakacje. Jeśli nie będziemy grać, nie utrzymamy się. W tym teatrze na drzwiach powinien widnieć napis taki jak ten, który widziałam w kilku restauracjach w Paryżu i Rzymie: „Niezamknięte od 1763 roku”.

Nie wszyscy lubią eksperymenty z publicznością.

Wiem, że wchodzę na grząski grunt. Pamiętam spektakl Józefa Szajny, w którym aktorzy myli nogi publiczności w pierwszym rzędzie. Ja oszalałabym z nerwów. Ale „Skok z wysokości” to tylko zabawa. Gra grecki zespół, nie gasną światła, bileterzy sprzedają lody i wodę mineralną. Takiego zadania jeszcze nie miałam. Trochę się denerwuję. Ale dla Polonii zrobię wszystko – dosłownie i w przenośni. W tym spektaklu będę



Janda: Jak trzeba, stanę w bufecie i posprzątam

musiała się ośmieszyć. Odważyć się na improwizację, reagować na zachowania widzów. To większe ryzyko niż budowanie kolejnej roli. Nawet owianej taką legendą, jak ta w „Radosnych dniach” Becketta, nad którą będę pracować jesienią. Reżyseruje Piotr Cieplak, zagra też wielki Jerzy Trela.

Pracuje pani tylko w swoim teatrze. Inne propozycje przepadają. Zakładałam, że tak będzie. Muszę tu być. W tym sezonie zrobiłam „Małe zbrodnie małżeńskie” Emmanuela Schmitta dla Teatru TV. I po krótkim okresie nieobecności w teatrze Polonia nie mogłam dojść

do siebie. Jestem zakładnikiem tego miejsca. I tak już będzie, aż teatr stanie na nogi, aż skończę budowę w każdym sensie tego słowa. Poza tym jestem dyspozycyjna i nie trzeba mi płacić – jako reżyserowi, adaptatorce, kierownikowi literackiemu i... stróżowi. Jeśli to będzie konieczne, stanę w bufecie i posprzątam.

Godzi się pani na artystyczne kompromisy, żeby utrzymać teatr?

Nie robię nic wbrew sobie. Dostałam ostatnio doskonałą farsę. Gdybym dobrała do niej obsadę z górnej półki i tym spektaklem otworzyła dużą scenę, sukces byłby gwarantowany! Ale mnie żal czasu,

marzeń, planów. Czas próby wyznaczyłam na dwa lata. Jeśli potem okaże się, że moje pomysły nie utrzymają teatru, zacznę myśleć inaczej. Francuski reżyser Yves Boisset mówił mi: „Zawsze robiłem jeden film dla siebie i trzy dla mojego producenta”. Ja na razie nie muszę. Jedni przychodzą do nas, bo mówi się „w mieście”, że ja w „Uchu, gardle, nożu” przeklinam, a Kasia Figura w „Badaniach terenowych nad ukraińskim seksem” gra bez majtek. Myślę, że skoro zdjęła jedną parę, nie ma kolejnej. Inni po prostu chcą być z nami. Po spektaklach są zadowoleni, wzruszeni, poruszeni.

Czy jest reżyser albo aktor, którego chciałaby pani mieć w swoim teatrze?

Wielu. Na przykład Małgorzata Hajewska-Krzysztofik czy Jerzy Trela. Zawsze też chciałam pracować z Piotrem Cieplakiem i udało się.

Co pani planuje w nowym sezonie?

Na otwarcie dużej sceny późną jesienią „Trzy siostry” Czechowa w reżyserii Natashy Brook, żony wielkiego Petera Brooka. Myślę, że będą to ciche, powolne trzy siostry. Kompletujemy obsadę, rozmawiamy m.in. z Andrzejem Chyrą, Karoliną Gruszką, Redbadem Klynstrą, Piotrem Adamczykiem, Magdaleną Cielecką. Potem „Radosne dni”. Na luty, marzec – rozkoszny tekst: „Boska!” Petera Quiltera. To zabawna sztuka o Foster Jenkins, amerykańskiej miliarderce, która nagrała wiele płyt, choć kompletnie nie potrafiła śpiewać. Na jej koncertach ludzie krzyčeli, żeby zamilkła, a ona na to: „Mamy nieprzychylnie nastawione osoby na widowni”. Ja zagram Boską, obok m.in. Macieja Stuhra i Wiktora Zborowskiego. Chciałabym też wystawić „Wątpliwość” Johna Patricka Shanleya – sztukę, która robi światową karierę. W Paryżu reżyserował ją Roman Polański. Rzecz dzieje się w amerykańskiej szkole katolickiej. Bohaterkami są dwie siostry: surowa przełożona i młodziutka nowicjuszka. I ksiądz posadzany o molestowanie ucznia. Ważny tekst.

Nie żałuje pani, że założyła teatr?

Jestem zmęczona, mam momenty załamania. Ten teatr jest już machiną, ale tylko 20 procent zajmują prace artystyczne. Nie żałuję, kiedy myślę o tytułach, o próbach. A wątpliwości kończą się wieczorem, kiedy ludzie przychodzą na spektakle. Te wieczory pomagają mi przetrwać. I mam wspaniałą grupę współpracowników, przyjaciół, męża, który mi pomaga. Przeżywamy te najtrudniejsze momenty razem. Dzięki tym ludziom mogę spokojnie spać.

Rozmawiali

Agnieszka Michalak, Jacek Wakar